



Maggie Stiefvater

LAMENT

INTRYGNA KRÓLOWEJ ELFÓW

PRZEŁOŻYŁA:
Karolina Socha-Duško



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Lament: The Faerie Queen's Deception

Redakcja: Agnieszka Stankiewicz
Korekta: Bożena Pierga
Projekt okładki: Izabela Surdykowska-Jurek, Magdalena Muszyńska, Czartart
Skład: skladigrafika@gmail.com

LAMENT: THE FAERIE QUEEN'S DECEPTION
Copyright © 2008 Maggie Stiefvater
Published by Flux, an import of Llewellyn Publications, Woodbury, MN 55125 USA
www.fluxnow.com

Copyright © for Polish edition by ILLUMINATIO, Warszawa 2011

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być kopiowana, publikowana i rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie innej niż to wydanie. Kopiowanie, przedruk, jak również udostępnianie treści książki w mediach elektronicznych, możliwe są jedynie po uzyskaniu pisemnej zgody Wydawcy. Jakiegokolwiek naruszenie praw autorskich może spowodować pociągnięcie do odpowiedzialności cywilnej i karnej w maksymalnym zakresie dopuszczonym przez prawo.

Wydanie I
Warszawa 2011
ISBN: 978-83-62476-06-0



Sprzedaż wysyłkowa i dystrybucja:



Zakupy przez Internet: www.CzaryMary.pl

ZAMÓW BEZPŁATNY KATALOG

Telefonicznie: **0801011078** lub **+48 856743619** (komórki i z zagranicy)

Emailowo: katalog@czarymary.pl bądź na www.CzaryMary.pl

Listownie: ILLUMINATIO, Skrytka Poczтовая nr 156, 02-588 Warszawa

Spis treści

Podziękowania	9
Prolog.....	11
Księga I.	15
Rozdział 1.	17
Rozdział 2.	39
Rozdział 3.	51
Rozdział 4.	73
Rozdział 5.	79
Księga II.....	91
Rozdział 6.	93
Rozdział 7.	109
Rozdział 8.	117
Rozdział 9.	125
Rozdział 10.	135
Rozdział 11.	143
Rozdział 12.	153

Księga III.....	165
Rozdział 13.	167
Rozdział 14.	181
Rozdział 15.	199
Księga IV.....	233
Rozdział 16.	235
Rozdział 17.	257
Rozdział 18.	269
Rozdział 19.	277
Księga V.....	287
Rozdział 20.	289
Rozdział 21.	305
Księga VI.....	313
Rozdział 22.	315



*Mojemu Tacie, ponieważ jest taki jak ja.
I Edowi, ponieważ taki nie jest.*

Rozdział 6

Dzień wstał jasny i nad podziw chłodny. Całą wilgoć i gorąco zmyła nocna ulewa. Siedząc obok Luke'a na miejscu pasażera w jego audi, nie potrafiłam uwierzyć, że wczorajsza burza mogła mnie tak przerazić. Niemożliwe wydało mi się teraz to, że widziałam Luke'a rozmawiającego w ten straszny sposób z kimś niewidzialnym. Albo że piegowaty chłopak mógł naprawdę być w naszym ogrodzie. To było szalone, ale za każdym razem, kiedy Luke znajdował się w pobliżu, nie przejmowałam się zupełnie niczym, co mnie martwiło, kiedy byłam sama. Czyżby miłość?

Nie – powiedział zirytowany głos w mojej głowie. To głupota. I nie przejmuj się, to u was rodzinne.

Przez godzinę rozmawialiśmy o błahostkach, których potem nie mogłam sobie nawet przypomnieć. Na przykład: dlaczego skrót od imienia William to Bill i dlaczego nie ma psów w paski. Za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że skończyły się nam tematy, jedno z nas wymyślało coś kolejnego.

- Bucefał! – Luke nagle klepnął rękami w kierownicę.
- Na zdrowie!

– Mój samochód tak się nazywa – zaśmiał się.

– Twój samochód ma imię?

Uśmiechnął się psotnie jak mały chłopiec. Patrząc pod nogi, gdzie wykładzina była poplamiona i odwijająca się w rogu przy drzwiach, zapytałam:

– Na cześć wspaniałego rumaka Aleksandra Wielkiego? To trochę z przekory, co?

– Czyli wiesz, kto to był. Znasz historię. – Białe zęby Luke’a błysnęły w jasnym słońcu. Dumnym gestem wskazał na deskę rozdzielczą. – To także nasza historia.

– Twoja i samochodu?

– Tak.

Uniosłam brwi.

– Czyli twierdzisz, że nikt inny na całym świecie nie mógłby nim jeździć? Twój samochód wyrzucał wszystkich na zewnątrz i rozjeżdżał, zostawiając na ich twarzach ślady opon, aż pewnego dnia młody chłopak wspinał się na siedzenie i zmusił go do posłuszeństwa?

Jego oczy uśmiechnęły się bardziej niż usta, których tylko jeden kącik był uniesiony do góry.

– Właśnie tak. I odtąd jesteśmy nierozłączni.

Przetrawiłam to, a następnie spojrzałam na wypłowiałą i podrapaną deskę rozdzielczą.

– No, nie wiem... Ja bym może wolała okiełznać maserati, a nie audi.

Teraz roześmiał się szczerze.

– Cóż mogę powiedzieć? Los go dla mnie wybrał. Popatrz. – Wskazał przed siebie.

Dojeżdżaliśmy w końcu do Richmond. Minęliśmy najpierw przedmieścia, potem biurowce i sklepy. Richmond było bardzo *jasne*. Wszędzie światło odbijało się od białych chodników, lustrzanych ścian, zaparkowanych aut i betonowych progów między czarnymi pasa-

mi ruchu. Były też drzewa, ale one wydawały się jakby na przyczepkę, prawie znikwały wśród ludzkich budowli. W czasie krótkich pobytów w Richmond nigdy się nim nie zachwyciłam, ale teraz *czułam*, że Luke się rozluźnił, w miarę jak wjeżdżaliśmy w nie coraz głębiej.

– Podoba ci się to miasto – stwierdziłam, zaskoczona, że to nie było pytanie.

Wzrok Luke'a przemieszczał się z jednej lśniącej powierzchni na drugą.

– Nie. Podoba mi się, jak działa to miasto. To... *wszystko*. Nikt by tu nie przetrwał, tylko człowiek... – Wskazał na ogromną wieżę kościelną, mającą ponad dachami i drzewami. – I krzyże. Tu wszystko się krzyżuje. Oni tego nie znoszą.

– Oni? – Zmroziło mnie użycie tego zaimka, który normalnie oznacza ludzi. Jakby „oni” do ludzi nie należeli.

Luke spojrział na mnie z dziwnie beztroskim wyrazem twarzy.

– Ciii... ślicznotko. Zanim znowu zaczniesz grać w zgadywanki, bawmy się dobrze jeszcze przez chwilę.

Audi skręciło w Carytown, nieskończenie długą aleję handlową we wszystkich kolorach tęczy, ze sklepami sprzedającymi mydło i powidło, których nie dało się kupić nigdzie indziej. Pokrążywszy trochę dookoła, Luke znalazł miejsce parkingowe prawie w cieniu.

– Jeśli jesteś głodna, wiem, gdzie można kupić super ciastka francuskie.

– Brzmi nieźle. – Umierałam z głodu. Z podekscytowania nie zjadłam obiadu. *Bo jesteś głupia* – przypomniał mi głosik w głowie.

Kupiliśmy ciastka w małej kawiarni i wyszliśmy na zewnątrz, żeby zjeść je przy kutym żeliwnym stoliku przy ulicy. Luke z rozbawieniem patrzył, jak rozłamuję swoje wielowarstwowe ciastko.

– Co ty właściwie robisz?

– Patrzę, z czego jest zrobione. – Podziobałam gąbczastą warstwę ciasta widelczykiem i spróbowałam kremu. – Żebym mogła sama

spróbować takie zrobić. – Mama mnie tego nauczyła. Wszystko rozbie-
rała na części. Czytała menu jak książki, a potem czarowała w kuchni.

Pokręcił głową.

– Dziwnie wydziwiam? – zapytałam.

– Miałem powiedzieć: cudnie cudujesz.

Chciałam zadać mu wiele pytań-zgadywanek, ale ciastko tak mi
smakowało (krem był z orzechów laskowych), że zanim zdążyłam
się odezwać, pochłonęłam je całe.

– No, a teraz mów.

– Nie, teraz chodźmy – Luke poprawił mnie i wstał. – Nie sądzę,
by ktoś tu był, po prostu lepiej się czuję, kiedy idę.

Wstałam i tak po prostu, naturalnie, pozwoliłam wziąć się za rękę.
Zastanawiałam się, czy mój dotyk powodował u niego takie same
elektryzujące wrażenia jak dotyk jego dłoni u mnie. Ruszyliśmy
po rozświetlonym betonie, po prawej stronie burczały samocho-
dy, a z jednego ze sklepów odzieżowych dobiegała muzyka.

– Powiedz mi, jeśli będziesz chciała gdzieś zajrzeć – powiedział
Luke. *Tak jakbym chciała chodzić po jakichś tam sklepach...*

– Po prostu mów. Powiedz mi w końcu, co tu się dzieje.

Luke patrzył, jak drugą stroną ulicy powoli przejeżdża rowerzysta.

– To moja tajemnica ... – Przechylił głowę ponad moim ramie-
niem i zniżył głos. – Nie mogę wyjawić ci swoich tajemnic.

Minęła chwila, zanim dotarło do mnie, co właśnie powiedział.
Kiedy już zrozumiałam, wyszarpnęłam rękę i stanęłam jak wryta.

– Przywiozłeś mnie tutaj, żeby mi to powiedzieć? – Para idąca dru-
gą stroną ulicy zatrzymała się i popatrzyła na nas. Doszłam do wnio-
sku, że zníženie głosu jest dobrym pomysłem. – Naprawdę oczeki-
wałam czegoś więcej. Przynajmniej kłamstw.

Luke wyciągnął do mnie rękę, ale skrzyżowałam ramiona.

– To prawda, nie mogę wyjawić ci wszystkich swoich sekretów.
Ale nie wiem, *na ile* nie mogę ci ich zdradzać. Możesz zadawać

mi pytania i zobaczymy, jak daleko możemy się posunąć – westchnął.

Zachmurzyłam się. Jakaś punkowa i jej androginiczny chłopak musieli się przepchnąć obok, by mnie minąć. Zignorowałam przyćmiki, jakie padły pod naszym adresem i zmrużywszy oczy, spojrzałam na Luke'a.

– Co to znaczy: „nie mogę ci ich zdradzać”? Nie wiesz, ile *nie możesz* mi powiedzieć?

Jego twarz błagała o zrozumienie. Bezsilnie poruszył ramionami.

W głębi serca *wiedziałam*, co owija w bawełnę i choć siłą woli umiałam nawet poruszać koniczynki i włączać światło, mój umysł wciąż tego nie akceptował. To zabawne, bowiem od tak dawna chciałam, aby świat stał się bardziej niezwykły. A teraz, kiedy się takim stał, nie mogłam w to uwierzyć.

– Czy chcesz, żebyśmy uwierzyła w *magię*? – ściszyłam głos.

Luke nie odpowiedział. Ze smutną miną patrzył na mnie swoimi jasnymi oczami.

– Dobra, weź mnie już za tę rękę – wymamrotałam w końcu, wyciągając do niego dłoń. – Chodźmy.

Od razu ujął moją dłoń i ruszyliśmy dalej. Minęliśmy sklep z używanymi płytami i drugi z antykami, w którego drzwiach stała zbroja rzucająca długi cień.

– Czy możesz mi powiedzieć, skąd się biorą te czterolistne koniczynki?

Luke wzmocnił swój uścisk i przed udzieleniem odpowiedzi rozejrzał się wokół.

– Chcą, żebyś mogła *ich* widzieć.

– Jakich „ich”?

Nie odpowiedział.

– Fejów?

Jego usta zadrgały z niesmakiem.

Przypatrzyłam mu się, próbując znaleźć na jego twarzy jakąś oznakę nieszczerości, ale widziałam jedynie odbicie swojej własnej zachmurzonej miny. Ułożyłam w głowie kilka pytań, których jednak nie wypowiedziałam. W końcu zdobyłam się na najgłupsze z nich:

– Myślałam, że mają skrzydła.

– Niektórzy mają.

– Myślałam, że to małe przyjazne duszki, które lubią kwiaty.

– Lubią kwiaty. Lubią wszystko, co ładne. – Spojrzenie Luke'a ogarnęło moją twarz, bez słowa zaliczając mnie tym samym do tej kategorii.

Aż do bólu chciałam mu wierzyć.

– Dlaczego chcą, żebym ich widziała?

– Z tej samej przyczyny, dla której chcą, żeby pozostali ich widzieli. Żeby dręczyć. Bawić się tobą. Oszłołomić. Zamotać...! – prawie odwarknął.

W mojej głowie pojawił się dokładny obraz Piego-Świra. Ej, fajne określenie. Właśnie tak go będę nazywać. Skupiłam się na pozostałych poznanych ostatnio faktach.

– Żelazo ich odstrasza. I krzyże. To dlatego babcia dała mi pierścionek. A ty dałeś mi swój klucz. Ale... psy?

– Psy są ich.

– Mój pies?

Luke spojrział na mnie znacząco. Zamrugłam. Co chciał mi powiedzieć? Że od niemowlęcia byłam pod obserwacją? Nasz Rye ganiający za wiewiórkami był ogarem fejów?

– Ale widziałam je... – zająknęłam się – to znaczy: te psy. Wtedy nie miałam przy sobie koniczynki.

– Uczysz się. – Głos Luke'a był bez wyrazu. – Niektórzy ludzie potrzebują koniczyny tylko przez jakiś czas, zanim nauczą się dzięki niej widzieć. Pewnie do nich należysz.

Czyli miało być coraz gorzej? Cień w kącie pokoju? Piego-Świr? Nic dziwnego, że Luke, kiedy tylko mógł, zabierał mi koniczyny. Przypomniałam sobie coś jeszcze.

– A dlaczego Babi tak dziwnie się wobec ciebie zachowywała?

Wargi Luke'a drgnęły. Choć patrzyłam na niego, nie odwzajemnił spojrzenia. W końcu się odezwał:

– Sądzę, że wzięła mnie za kogoś innego.

W sumie nie wiedziałam dlaczego, ale nie byłam zadowolona z tej odpowiedzi. Przez dłuższy czas szliśmy w ciszy. W końcu asfalt ustąpił miejsca brukowi, a beton cegłom. Nad wybrukowaną ulicą rozpościerały się korony drzew, a po obu stronach zwężającego się zaułku wyrastały piękne, stare kamienice. Zielony baldachim nad naszymi głowami tworzył zasłonę przed późnopołudniowym słońcem. Z każdym krokiem i każdym słowem wkraczaliśmy w dziwny i tajemniczy świat.

– Czemu chcą właśnie mnie? – zapytałam w końcu.

Z niespodziewaną gwałtownością Luke zatrzymał się i wciągnął mnie w małą, ceglana niszę. Zrobił to tak szybko, że dreszcz powstałby wskutek jego dotyku dotarł do mnie o kilka sekund za późno.

– A kto by nie chciał? – powiedział prawie niedosłyszalnie wprost do mojego ucha. Jego usta, niemal doprowadzając mnie do szaleństwa, powoli zakreśliły linię wzdłuż mojej szyi, by pocałować mnie w ramię. Chociaż wargi miał gorące jak schowane za drzewami letnie słońce, zadrżałam i zamknęłam oczy. Moje ręce uwięzły między nami – i tak nie wiedziałabym, co mam z nimi zrobić. Pocałował mnie jeszcze raz w szyję, tym razem wyżej. Odepchnęłam go, przypierając do ściany.

Szukałam w głowie jakiejś logicznej myśli, racjonalnej łodzi ratunkowej, zanim porwie mnie chęć pocałowania go.

– Spotkaliśmy się zaledwie kilka dni temu. Nie znamy się.

Luke opuścił ręce.

– A ile czasu zajmuje poznanie kogoś?

Nie wiedziałam.

– Miesiąc? Kilka miesięcy? – Durnie brzmiało to obliczanie, zwłaszcza w momencie, kiedy nie mogłam polegać na swoim myśleniu. Nie mogłam jednak tak po prostu całować kogoś, o kim nic nie wiedziałam. To kłóciło się ze wszystkim, co mi od dziecka mówiono. Dlaczego więc tak trudno było powiedzieć „nie”?

Trzymał w swojej dłoni moje palce i bawił się nimi.

– Poczekam. – Wyglądał niesamowicie dobrze w półcieniu pod drzewami. Jego oczy niemal świeciły w porównaniu z pograżoną w cieniu skórą. Czekanie nie miało sensu.

– Nie chcę, żebyś czekał – wyszeptałam. Zanim dokończyłam ostatnie słowo, jego wargi już były na moich, a ja topniałam w jego pocałunku. Moje ręce – nie wiem, jak mogłam się nimi wcześniej przejmować – wczepiły się w jego koszulkę, kostki palców wpiłam w jego szczupłe ciało. Jego ramiona ciasno oplotły moją szyję i plecy, zupełnie jakby chciał mnie podtrzymać, gdybym próbowała zemdleć.

Odsunął się w końcu, opuszczając ręce w dół, by złapać mnie za palce.

– Nikt chyba nie pachnie tak pięknie jak ty. Nie dostaną cię. *Ja* ciebie chcę.

Zagryzłam wargę.

– Chyba muszę ci coś pokazać. Ale dla bezpieczeństwa będziesz musiał zaprowadzić mnie do jakiegoś kościoła.



W słabym świetle popołudnia kościół był wyludniony, ciemny, pachnący kadzidłem i tajemnicą. Zanurzyłam palce w wodzie święconej i odruchowo się przeżegnałam. Następnie poprowadziłam Luke'a między rzędami ławek.

– Co chcesz mi pokazać? – W kościele jego głos był poważny i niski, tłumiony przez chodnik pod naszymi nogami.

Nie wiedziałam, jak to zaprezentować, ale miałam świadomość, że musi się dowiedzieć o mojej umiejętności telekinezy. Może to właśnie dlatego tak interesowałam fejów? Przemieszczając się bezdźwięcznie, doprowadziłam go na środek kościoła. Tam przyszedł mi do głowy pomysł. Urwałam pączek róży z kompozycji kwiatowej na schodach przy ołtarzu.

Gdy odwróciłam się do Luke'a, zobaczyłam, że ze smutkiem w oczach patrzy na krucyfiks wiszący w głównej nawie. Opuścił wzrok na moją twarz, a potem na pęk, który trzymałam. Stał naprzeciwko mnie, jakby to była jakaś samotna ceremonia ślubna.

– Pamiętasz, co powiedziałeś mi w czasie konkursu? – spytałam.

– Nie – wydusił z zamkniętymi oczami.

Naciskałam dalej:

– O tym, że niektórzy ludzie potrafią zrobić wszystko?

Odwrócił twarz.

– Chciałem tylko, żebyś się skupiła na czym innym. Nie chciałem, żebyś wymiotowała. Podziałało, pamiętasz?

– Nie kłam – syknęłam. – *Wiedziałeś*. Nie wiem, w jaki sposób, ale *wiedziałeś*. Że należę do tych ludzi. Może nie?

Ciągle odwrócony, opuścił głowę i przycisnął pięść do czoła.

– Nie. Nie należysz. Powiedz, że nie.

Światło świec wokół stóp Maryi padało na jego policzek, pozostawiając resztę twarzy w cieniu.

– Nie mogę powiedzieć, że nie. Należę. *Popatrz!* – Wysunęłam w jego stronę pączek róży w obu dłoniach. Zwrócił się ku mnie z niewesołą twarzą. Po sekundzie płatki rozwinęły się jeden po drugim, aż w końcu kwiat zrobił się na tyle duży, że dotykał wszystkich moich palców. Patrzyłam na aksamitne, żółte płatki, wtulone w moje dłonie. Następnie spojrzałam na niego.

Luke założył rękę na rękę.

– Robi wrażenie – powiedział cicho.

Nie zrozumiałam jego reakcji.

– Ale przecież już wiedziałeś, że potrafię takie rzeczy? W przeciwnym razie tak byś nie powiedział...

Odwrócił się znowu, przygarbiony.

– Możesz dać mi chwilkę?

Zrobiłam coś nie tak. Trzeba było mu tego nie pokazywać. Ale przecież on już wcześniej wiedział... *Co ja takiego zrobiłam?* Szybko wycofałam się przejściem wzdłuż nawy i przepchnęłam przez podwójne drzwi do przedsiönka. Otarłam jedno mokre oko. Przez dłuższą chwilę stałam w ciemnym pomieszczeniu, patrząc tępo na tablicę ogłoszeniową z wywieszonymi ulotkami na temat kiermaszu pieczywa i klubu biblijnego.

Potem usłyszałam, jak krzyczy.

– Niech cię cholera!!! Dlaczego???

Spojrzałam przez przezroczyste szybki w drzwiach przedsiönka, aby sprawdzić, czy rozmawia z jakimś prawie niewidzialnym fejem. Ale dla moich oczu byli tam tylko Luke i Bóg.



W drodze powrotnej nie rozmawialiśmy o róży. Przez długi czas patrzyłam przez okno na widmo księżyca wiszącego ponad czarnymi sylwetkami drzew, podczas gdy obok na szosie migwały pasy. Coś w wyglądzie księżyca, odwiecznego i zagadkowego, przypominało, jakie uczucie towarzyszyło mi, kiedy jedną myślą rozchylałam płatki róży.

Nagle Luke zjechał gwałtownie z drogi szybkiego ruchu w ledwie widoczną boczną drogę ziemną. Zaciągnął hamulec ręczny i wlepił wzrok w świecącą na desce rozdzielczej tarczę zegara.

– Jesteś na mnie zła?

Zaskoczona tym pytaniem popatrzyłam na niego. Jego twarz, oświetlona przez lampki na pulpicie, była zielona i spiczasta. Dostrzegłam na niej autentyczny wyraz troski.

– Dlaczego miałabym być na ciebie zła?

– Zamilkłaś. Tylko po tym mogłem wcześniej poznać, że byłaś wkurzona, więc rozumiem, że zrobiłem coś, co cię wytrąciło z równowagi.

– To ty zupełnie przestałaś się odzywać. Myślałam, że to ty jesteś na mnie zły za... – Ugryzłam się w język. Nie wiedziałam, czy wypada wspominać o kościele, czy nie.

Luke westchnął i zrobił nieokreślony gest.

– To jest dla mnie po prostu obce terytorium.

– Co?

– Ty. – Z zakłopotaniem wzruszył ramionami. – Nie wiem, co robić.

– Z czym?

– Z tobą.

– W kontekście tego, co się stało w koś...

Przerwał mi szybko:

– Nie. Tylko z tobą. Z tobą, przy tobie. Ciągle czekam, aż mi powiesz, żebym zostawił cię w spokoju. Że mi powiesz, że jestem podejrzany.

Wskazałam na niego palcem.

– Właśnie dlatego nie kazałam ci zostawić mnie w spokoju.

– Co... Czemu?

– Bo ciągle powtarzasz mi, że jesteś dziwny. Naprawdę szemrani ludzie nie mówią, że są podejrzani.

– Poza tym rzuciłem się na ciebie w zaułku. To jest szemrane zachowanie.

A więc to o to chodziło... O pocałunek. To urocze, że się przejmował. Roześmiałam się.

– Nie rzuciłeś się na mnie. I to nawet nie był zaulek.

– Tak, ale nie zapytałem.

Nie byłem na bieżąco z zasadami randkowania, ale nie wydawało mi się, żeby ktokolwiek pytał dziewczynę, czy może ją pocałować. Takie rzeczy działy się tylko w filmach.

– Oddałem ci pocałunek.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Nie chcę posunąć się za daleko, zrobić czegoś niewłaściwego i wpakować się w kłopoty.

Cholera, to brzmiało znajomo.

– Luke, nie jestem na ciebie zła. I... – Musiałam odwrócić głowę, mówiąc te słowa, i oczywiście spiekłam raka. – Nie wpakujesz się w kłopoty. Albo... Może ja lubię takie kłopoty, w jakie mógłbyś się wpakować...

Po chwili już żałowałam, że to powiedziałam. Może pomyśli sobie, że jestem łatwa? Może *posunie się za daleko*? Może nie zrozumiał, co miałam na myśli? Może...

Uśmiechnął się półgębkiem, niezbyt radośnie i wyciągnął rękę na szerokość samochodu, by pogłodzić mnie po podbródku. Miałam ochotę zamknąć oczy i przyłgnąć do jego dłoni, zapomnieć o wszystkim, co czyniło mnie Deirdre.

– Jesteś jak dziecko. Nie masz pojęcia, w jakie tarapaty mogę się wpakować.

Zjeżyłam się, odsuwając twarz od jego ręki.

– A to co miało znaczyć?

– Nie mówiłem tego w sensie... Oj, znowu się na mnie wściekasz. Zmierzyłam go lodowatym wzrokiem.

– No co ty? Nazwałeś mnie dzieckiem.

– To był komplement, naprawdę. – Luke z wyrazem frustracji osunął się na siedzeniu.

– A to niby jak?

– Bo przy tobie zapominam, jaka jesteś młoda – próbował wyjaśnić, odwracając oczy od mojego bazylijskowego wzroku. – Jesteś po prostu ... Jesteś taka podobna do mnie. Wiesz, przyjmujesz wszystko tak, jakby już od stu lat było ci znane. Wyraz twoich oczu, kiedy grasz... Po prostu zapominam, że masz dopiero szesnaście lat.

– Czy nie zapominasz przypadkiem o sformułowaniach w rodzaju „zjawiskowa” i „szalenie inteligentna”, kiedy prawisz nierealistyczne komplementy? – Miło byłoby mu uwierzyć, ale mój umysł nie mógł jakoś dopasować mnie – wyjątkowo niewidzialnej – do mnie – wyjątkowo atrakcyjnej.

– Mówię poważnie. Chociaż jesteś zjawiskowa – jego głos brzmiał szczerze.

Pokręciłam głową.

– Zjawiskowa jest Eleanor. Ja wiem, jaka jestem, na pewno nie zjawiskowa. I nie przeszkadza mi to.

Na wspomnienie Eleanor dziwny wyraz zamajaczył na jego twarzy.

– Nie. Eleanor to co innego. Ty jesteś piękna. Zwłaszcza kiedy patrzysz na mnie z miną, która mówi: „Ale z niego zadufany palant”. Tak. Piękna.

Patrzyłam na swoje ręce. Światelko samochodowego radia oświetlało je dziwnym kolorem, przez co sprawiały wrażenie, jakby świeciły od środka.

– Powtórz to – powiedziałam cichutko.

Ale on nie powtórzył. Zamiast tego stwierdził:

– Jesteś inna. – W jego wydaniu zabrzmiało to jak największy komplement na świecie. „Inna” jak nowy gatunek motyla, a nie jak określenie dziewczyny ubranej w sweter, gdy wszyscy pozostali mają na sobie bluzeczki bez rękawów.

Usłyszałam, jak Luke przemieszcza się na swoim siedzeniu, aby popatrzeć w ciemność przez przednią szybę samochodu.

– Jesteś taka jak ja. Przyglądamy się temu światu, prawda? Nie uczestniczymy w nim.

Ale ja nie byłam jedynie obserwatorką *tego* świata – małej planety zamkniętej w jego samochodzie. Byłam niezastąpioną częścią tego świata, pachnącego letnim zapachem Luke’a. Nie wiedziałam, czy bardziej chce mi się teraz wybuchnąć płaczem, czy uśmiechnąć się najszerzej, jak umiem.

– Dee – powiedział łagodnie Luke – odpłynęłaś myślami. Czy mogę wiedzieć gdzie?

– Tutaj. – Wzrokiem wskazałam na niego.

Pokręcił głową.

– Wyobrażałam sobie swoje życie jako samodzielną planetę. – Uśmiechnęłam się wstydliwie. Luke pociągnął palcem po kierownicy, kreśląc koło, które nie miało końca. – Z bardzo atrakcyjnymi kosmitami.

Sięgnął ręką i delikatnie zakreślił ten sam krąg na wierzchu mojej dłoni. Dostałam gęsiej skórki na całej długości ramienia.

– Ciągłe jesteś na mnie wkurzona? – zabrzmiał jego cichy, monotony, pozbawiony emocji głos.

Leciutko jak piórkiem przesunął palcem po moim ramieniu aż do barku. Przymknęłam oczy. To laskotało w sposób, który sprawiał, że czułam motyle w brzuchu, a mój oddech ustawał. Pochylił się ponad dźwignią biegów i równie delikatnie pocałował mnie w usta. Zamknęłam oczy, pozwoliłam mu pocałować się jeszcze raz i objąć szyję dłonią, podczas gdy druga jego ręka opierała się o fotel. Jakies auto przejechało wielopasmówką i przez zamknięte powieki dostrzegłam błysk światła.

– Chcesz, żebym przestał?

Pokręciłam głową. Pocałował mnie raz jeszcze, gryząc lekko moją dolną wargę. Odleciałam na wysokość, która zupełnie mnie zaskoczyła. Nagle, irracjonalnie, pomyślałam sobie: *A więc to są pieszczotki*.

ty? Nie wiedziałam nawet, czy robię to właściwie. Nie ślinię się za bardzo? Czy jemu się to podoba? I co, do diabła, mam zrobić z językiem?

Jednak część mnie była wolna od niepewności i ta właśnie część błagała, bym go dotykała i by on dotykał mnie. Kolejny raz poczułam, jakbym opuściła ciało, siedziała na tylnym siedzeniu i patrzyła, jak Luke i ja się całujemy. Widziałam, jak światło pada na moją twarz, gdy wyciągam podbródek, aby moje usta dosięgły jego ust. Widziałam, jak ostrożnie przeciąga językiem między moimi wargami. Spoza własnego ciała patrzyłam, jak nachylam się ku jego dłoni, przyciśniętej do mojego boku, gładzącej fałdki mojej bluzki. Słuchałam, jak mój oddech staje się nierówny, jego oczy przybliżają się, dłoń łąduje na udzie, pytając, czy może posunąć się dalej, w miejsca, których jeszcze nie zbadałam.

Zamarłam i Luke cofnął się szybko na swoje miejsce. Spojrzał gniewnie na dłoń, jakby ręka była mu nieposłuszna.

– Przepraszam.

Chciałam powiedzieć, że nie szkodzi, ale nie miałam pewności, czy tak faktycznie było. Nie wiedziałam, czego chcę. Zdobyłam się na słabe: „w porządku”, chociaż to nie było to, co chciałam powiedzieć.

– Przepraszam – powtórzył – nie zamierzałem wcale... – Na chwilę zamknął oczy, potem znowu je otworzył. Zwolnił hamulec ręczny.

Moja noga płonęła w miejscu, w którym jej dotknął. Wciąż czułam pożądanie w jego dotyku i nie umiałam powstrzymać drżenia. Chciałam, żeby znowu mnie pocałował. Ale chciałam też, żebyśmy ruszyli w drogę – po to, bym przestała pragnąć jego pocałunków.

Luke wjechał z powrotem na wielopasmówkę. Nie patrząc na mnie, przełknął ślinę. W słabej poświacie wyglądał na odległego i obcego.

Sięgnęłam ręką, by ponad dźwignią biegów dotknąć jego dłoni. Nie odrywając oczu od drogi, mocno spleśliśmy palce.

Rozdział 7

Tę noc spędziłam na kanapie. Myśl o dzieleniu pokoju z jakimś dziwactwem bez twarzy jakoś do mnie nie przemawiała. Choć wiedziałam, że równie dobrze może pojawić się na dole w dużym pokoju, zdecydowanie lepiej zasypiało mi się na kanapie.

Obudziłam się cała w skowronkach. Wczoraj oszołomiła mnie rozmowa w kościele i koncepcja prześladowających mnie fejów, ale dziś rano, wypoczęta, w bladym świetle prześwitującym przez białe, delikatne zasłony, czułam się jak młody bóg. Całe zło wydawało się bardzo odległe, a w wyobraźni odtwarzałam w kółko sceny pocałunków.

Usłyszałam jakiś ruch na górze i tupanie w pokoju rodziców. Mama nie spała. Widziałam wyraz jej twarzy, kiedy wczoraj Luke podwiózł mnie o jedenastej i przeproszał, że trzymał mnie tak długo. Nie miałam teraz ochoty na tę rozmowę. W zasadzie to wcale nie miałam na nią ochoty.

– Rye? – szepnęłam. Popatrzył na mnie ze swojego miejsca przy kanapie. – Spacer?

Podskoczył i radośnie pomachał ogonem. Poszłam za nim do kuchni, przecierając zaspane oczy i zbierając włosy w przykrótki kucyk.

Włożyłam dzinsy znalezione w pralni i podwinęłam nogawki, żeby nie zamoczyć ich w mokrej trawie. Wyszłam na zewnątrz, w światło poranka.

Mój Boże, jakie piękne było tego dnia słońce! Światło spływało poprzez wczesnoporanną mgiełkę. Było wciąż chłodno – rosa wisiała na pajęczynach, powietrze pachniało świeżo skoszoną trawą. Wszystko było piękne.

Pocałował mnie. Pocałował mnie.

Nieświadomy ognia, który we mnie płonął, Rye przepchnął się przede mną w drzwiach i z podniesionym białym ogonem zaczął szperać we wciąż mokrej trawie.

Nie tędy, psie fejów. Idziemy tam. Wzdłuż ulicy.

Zatrzymał się i nastroszył uszy, zupełnie jakbym odezwała się do niego na głos. Następnie zatoczył krąg i podreptał w kierunku ulicy. Przystanął, czekając na mnie.

Super. Wszystko było super. Mogłam wołać Rye'a myślami, a Luke mnie pocałował. Razem z psem wyszłam na ulicę. Trzymaliśmy się na uboczu, chociaż o tej porze dnia wątpliwe było, że spotkamy jakiegokolwiek samochodu.

Na asfalcie moje białe stopy nie wydawały żadnego dźwięku. Prowadziłam Rye'a w cichszą uliczkę obok naszego domu i razem poszliśmy samym jej środkiem, patrząc, jak po prawej stronie znajdowały się pastwiska dla krów unoszące się mgłą. Zwolniłam zafascynowana widokiem białego królika, który też na mnie patrzył. Jego nieskazitelnie białe uszy sterczały nieruchomo. Nie licząc królika, byłam sama na sam z Rye'em i swoimi myślami.

A więc Rye był ogarem fejów. A fejowie chcieli mnie porwać. To było coś w rodzaju pochlebstwa. Miło być zauważonym.

Jaka w tym wszystkim była rola Luke'a? Skąd on w ogóle wiedział o fejach? Czy jego też usiłovali porwać? Dlaczego Babi zwracała się do niego w ten sposób? To nie złość w jej głosie była najbardziej za-

stanawiająca, lecz znajomość. Trochę podobnie na widok Luke'a zareagował pan Hill, prowadzący szkolną orkiestrę, który jakby rozpoznał go w czasie konkursu. Mój umysł delikatnie odszedł od tematu. Przypomniałam sobie, jak mało wiedziałam o Luke'u i to wcięło się ostrą rysą w moją poranną wesołość. Byłam świadoma, że powinno mnie interesować, kim jest i co robi, kiedy nie jest ze mną, ale wcale nie chciałam tego sprawdzać. Wołałam iść na łatwiznę.

W głębi duszy wiedziałam, że nie był uczniem liceum. Ale co złego w tym, że właśnie to mi się w nim podobało?

Rye zawarczał przy moim boku i cofnął się. Podążyłam za jego wzrokiem. Przed nami, w niewykorzystanej zatoczce, stało zaparkowane znajome, zdezelowane audi. Serce podskoczyło mi w piersi. *To Luke!* Mój umysł sekundę później wyrzucił pytanie: *Co on tu robi?*

Podkradłam się powoli do samochodu. W środku, na siedzeniu pasażera, zobaczyłam Luke'a z rękami założonymi za głowę i zamkniętymi oczami. Sen starł wszelką troskę z jego ostrych rysów i sprawił, że wyglądał prawie tak młodo i świeżo, że mógłby uchodzić za licealistę. Na jego uniesionym ramieniu, na wysokości bicepsa, widniała złota, kuta obręcz, częściowo zasłonięta przez rękaw koszulki. Nie wiedziałam, czemu wcześniej jej nie zauważyłam.

Spojrzałam w dół. Drzwiczki po jego stronie były otwarte. Kiedy pociągnęłam za klamkę od strony pasażera, Luke natychmiast się zerwał i błyskawicznie opuścił rękę ku kostce nogi.

– Nie zostawiaj drzwi otwartych – poradziłam mu. – Nigdy nie wiadomo, jakie typy mogą się wdrzeć do samochodu.

Mrugając, patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, po czym odsunął rękę od łydki. Zamknął oczy i opuścił głowę z powrotem na zagłówek.

Zatrzasnęłam za sobą drzwiczki, widząc, jak Rye gapi się drapieźnie na Luke'a, a potem cofa się na pobocze.

– Ja też nie spałam w swoim pokoju.

Nie otworzył oczu.

– Trudno jest spać, kiedy wiesz, że ktoś cię obserwuje, prawda?

Chciałam go zapytać, dlaczego go obserwują, lecz obawiałam się, że mi nie odpowie. Chciałam też zapytać, czemu śpi w samochodzie rzut kamieniem od mojego domu, ale bałam się, że mi *odpowie*. Pomyślałam o tym, jak sięgnął ręką do kostki, tak jakby miał coś pod nogawką. Coś o wiele bardziej zabójczego niż złota obręcz skrywana pod rękawem podkoszulka. W ciszy, jaka zapanowała, mój umysł zalala fala wątpliwości. Ale chwilę potem otworzył swoje bladoniebieskie oczy i patrząc na mnie, uśmiechnął się – a wątpliwości rozwiały się jak nić babiego lata.

– Jesteś miłym widokiem zaraz po przebudzeniu.

Skowronki wróciły chmarą, jakby nigdy nie miały zamiaru odlatywać. Uśmiechnęłam się szeroko.

– Wiem. – Dlaczego, kiedy byłam z nim, stawałam się tą dziwną, lekką istotą?

Luke roześmiał się.

– To zaśpiewaj mi coś, miły widoku.

Całkowicie bezwstydnie na melodię „Przystojnego chłopca okrętowego” zaśpiewałam zmyśloną piosenkę o chodzeniu na bosaka i obcych facetach śpiących w samochodach. Widząc, jak jego twarz się rozpromienia, dodałam jeszcze liniijkę o niebezpieczeństwach związanych z pastwiskami i mężczyznami, którzy przebywają w ich pobliżu. „Zaczaruj” świetnie zrymowało mi się z „gnój”.

– Masz dobry nastrój. – Usiadł prosto i przesunął dłońmi po włosach, patrząc w lusterko wsteczne. – Wstydzę się. Widzisz mnie bez makijażu.

Teraz była moja kolej na śmiech.

– Wyglądasz strasznie. Nie wiem, jak możesz znieść swój widok co rano. – Ostrożnie uniosłam palcami skraj rękawka jego koszul-

ki, odsłaniając złotą obręcz z wykutymi na niej licznymi arabeskami. – Tego jeszcze nie widziałam.

– Zawsze ją miałem. – Jego głos był dziwnie pozbawiony życia. Spojrzał w bok przez okno.

Dotknęłam jej, pocierając palcem po ornamentach. Zauważyłam, że jego skóra ponad krawędzią bransolety była zabliźniona, a mięśnie ramienia tworzyły ponad nią wypukłość: torques* był w tym miejscu od dawna. Przyglądałam się nieco dłużej, niż wypadało, szukając pretekstu, by pogłaskać palcem jego skórę. Kiedy się tak wpatrywałam, zauważyłam coś jeszcze: blade, lśniące ślady biegnące równoległe do torquesu. Blizny. W wyobraźni odtworzyłam tuzin szram ciągnących się wzdłuż całego ramienia. Ran, które cięły biceps na pasy, podtrzymywane jedynie przez ten właśnie torques.

Przesunęłam palcem po jednej z blizn, kreśląc linię w stronę łokcia.

– Co to?

Luke spojrział na mnie i odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Masz wciąż moją tajemnicę?

Przez moment nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale po chwili wskazałam łańcuszek na szyi. Uniosłam go, by pokazać kluczyk.

– Jedną mam. Mogę dostać jeszcze jedną?

Jego usta ułożyły się w uśmiech.

– Pewnie. Wciąż mnie fascynujesz.

– To nie tajemnica.

– Może nie, ale wzięwszy wszystko pod uwagę, jest to niezmiernie zadziwiające.

Wydęłam wargi.

– Nie mogę wziąć wszystkiego pod uwagę, skoro prawie nic nie wiem.

* *Torques* – okrągła ozdoba, którą noszono jako naszyjnik już w starożytności, Luke nosi torques jako bransoletę na ramieniu – przyp. tłum.

– Nie nadymaj się. Zaśpiewaj mi jeszcze piosenkę. *Prawdziwą*. Coś, przy czym ludzie płaczą.

Zaśpiewałam mu „Fear a’ Bhàta” – „Samotnego żeglarza”. Wyszło mi smutniej i piękniej niż kiedykolwiek, bo śpiewałam dla niego. Nigdy wcześniej nie chciałam śpiewać dla kogoś. Czy tak właśnie czuła się Delia za każdym razem, kiedy wchodziła na scenę?

Luke zamknął oczy.

– Zakochałem się w twoim głosie – westchnął. – Jesteś jak syrena. Zwodzisz mnie w niebezpieczne miejsca. Nie przestawaj. Zaśpiewaj mi coś jeszcze.

Chciałam prowadzić go w niebezpieczne miejsca, o ile tylko była tam rola dla mnie. Zamknęłam więc oczy i zaśpiewałam „Sally Gardens”. W samochodzie akustyka nie jest najlepsza, ale *chciałam*, żeby zabrzmiało pięknie. I właśnie tak było. Nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek zaśpiewała to lepiej.

Na mgnienie przed tym, jak jego oddech musnął moją szyję, poczułam jego bliskość. Zaskoczyła mnie fala emocji, która przeszła mnie od razu, gdy tylko jego usta przyłgnęły do mojej skóry. Strach. Tylko przez sekundę, niemniej jednak się pojawił.

Moje zdradliwe ciało wzdrygnęło się. Otworzyłam oczy, a Luke się odsunął.

– Straszę cię? – zapytał.

Dziwnie to ujął. Zamiast „przestraszyłem cię?”, spytał, czy mnie straszy.

Zmrużyłam oczy, próbując rozszyfrować jego twarz. Bardzo wyraźnie czułam, że w jego oczach odnajdę swoje własne odbicie. Także coś z mojej obsesji muzycznej, walki o kontrolę nad własnym życiem. Nie byłam pewna dlaczego, ale po prostu czułam w głębi, że to, co sprawiało, że byłam sobą, powodowało też, że sobą był również Luke. Odpowiedziałam mu pytaniem.

– A powinieneś?

Uśmiechnął się delikatnie.

– Wiedziałem, że jesteś mądra. – Nagle jego uśmiech zniknął. Patrzył na coś przez moje ramię. Odwróciłam się.

Koło samochodu siedział bielusienki królik i nieruchomo wpatrywał się w nas czarnymi oczami.

Żołądek podszedł mi do gardła.

Luke dokładnie mu się przyjrzał, a następnie rozkazał mi niskim, napiętym głosem:

– Lepiej idź.

Iść?

– A co z...?

– Co z czym? – zapytał bez wyrazu.

Spojrzałam na królika, a potem odezwałam się chłodno:

– Z niczym. Masz rację. Zresztą mam dzisiaj występ. Mama mi głowę urwie, jeśli zaraz nie wrócę.

Położyłam rękę na kłamce gotowa wysiąść, ale Luke szybko dotknął mojej drugiej dłoni, spoczywającej jeszcze na siedzeniu.

Zrozumiałam. Żeby królik nie widział. Wysiadłam i zamknęłam za sobą drzwiczki. Królik pokicał powoli w zarośla, jakby to miało mnie przekonać, że był zwykłym królikiem, a nie magicznym zabójczym królikiem podglądaczem.

Rye przydreptał z drugiej strony i dołączył do mnie, nie spojrzawszy nawet w kierunku miejsca, gdzie zniknął królik. Ja także pomaszerowałam w dół ulicy, nie oglądając się za siebie. Przeszłam kilkadziesiąt metrów i mogłabym przysiąc, że usłyszałam, jak otwierają się i zamykają drzwi samochodu. Obejrzałam się ukradkiem, potrząsając głową i udając, że odpędzam komara. Oczywiście auto było puste.

Gdzie on się podział?

Skup się. Te twoje telekinetyczne zdolności muszą się na coś przydać. Wytężyłam słuch. Nic. Tylko monotonne ćwierkanie kardynałów

w koronach drzew. Trudno było się skupić na czymś tak mało wyrazistym jak odgłosy. Potrzebowałam czegoś konkretnego. Wyobraziłam sobie Luke'a trzymającego telefon, dzwoniącego do mnie, a potem zapominającego się rozłączyć. Wyobraziłam sobie szelest ściółki, po której Luke ściga królika, szmer jego oddechu. Jego niski i oddalony głos.

– Czy kiedykolwiek wcześniej zawiodłem?

– Nigdy nie zajęło ci to tyle czasu. – Inny głos, ordynarny i szorstki, dziwnie brzmiący, jednocześnie mnogi i pojedynczy.

– Mam swoje powody, by się nie spieszyć.

– Pieprzyć ją. Miej to z głowy. – Pojedynczy głos, którego było tak wiele, zabrzmiał pogardliwie.

Nastąpiła o sekundę za długa przerwa, a potem Luke się roześmiał.

– Jasne. To takie oczywiste, co?

– Po prostu ją przeleć. Skończ to. – Kamienny głos wcale się nie śmiał. – Nie mogę dłużej czekać. – Tym razem nie było przerwy.

Zerwałam się do biegu, klapiąc po chodniku bosymi stopami. Nie chciałam już więcej słuchać. Telefon w mojej wyobraźni zapiszczał i rozmowa się rozłączyła. Kłamał. Kłamał kamiennemu głosowi. Kłamał. Skoro powiedziałam to trzykrotnie, to musiała być prawda.

Rozdział 8

Mama odwiozła mnie na występ. Ponieważ zajmowała się cateringiem, znali nas wszyscy organizatorzy wesel w promieniu dwóch godzin jazdy. Wszyscy dosyć szybko orientowali się, że mama urodziła także oprawę muzyczną ślubów. Nie było to nawet takie złe. Zazwyczaj przyjeżdżałam pół godziny wcześniej, połowę tego czasu spędzałam, rzygając, a potem pojawiałam się na scenie, by z gracją pograć za kilkaset doliców. Warto było tyle rzygać: za dwieście dolarów przez kilka miesięcy do następnego występu mogłam oddawać się nałogowi kupowania płyt.

Ale dzisiaj nie chciałam tego robić, i to nie ze względu na wymioty. Nie myślałam nawet o występie. Myślałam o śmiechu Luke'a. Analizowałam go pod każdym kątem. Następnie dochodziłam do wniosku, że za dużo o tym myślę... A potem, że nie dość dokładnie to rozważyłam.

Przez większość drogi mama milczała, prawdopodobnie sądząc, że jest mi niedobrze. Jednak czułam, że coś się kroi. I miałam rację. Ściszyła radio.

– Wczoraj wieczorem... – Oho, no i masz. Frustracja wezbrała i wybuchła we mnie jak czerwony, paskudny pęcherz.

– Nie chcę rozmawiać na temat Luke’a – uciełam.

Równie dobrze mogłabym ją uderzyć. Reakcja byłaby taka sama. Nawet przyłożyła palce do ust, zupełnie jakbym to właśnie zrobiła. Rzeczywiście, łamałam kolejną zasadę. Miałam tylko siedzieć i pozwolić się łajać, a potem w milczeniu potakiwać wszystkiemu, co powie. Pieprzyć to.

Źle dobrałam słowa.

Pieprzyć ją. I mieć to z głowy. Nie mogę czekać. Ze złością pociągnęłam za skraj dopasowanej niebieskiej sukienki, którą kupiła dla mnie mama. Nienawidziłam tej kiecki. Wyglądała w niej, jakbym obrabowała szafę bardzo wiekowej babci. Brakowało mi jedynie długachnego sznura pereł i pasowałam do domu starców.

I co z tego, że Luke był w zмовie z jakimś cholernym królikiem? Po co w takim razie w ogóle zawracał sobie głowę, żeby opowiadać mi o fejach? Czy żeby zdobyć moje zaufanie i zaciągnąć mnie do łóżka?

Mama gwałtownie zahamowała. Popatrzyłam na nią zdziwiona, sądząc, że szykuje się poważne starcie. Ale nie, to nie było w stylu mamy. Byliśmy już pod kościołem.

– Co ty w ogóle masz na szyi? – Jej głos był tak lodowaty, że niedźwiedź polarny zmarzłby od niego.

Moja ręka powędrowała do łańcuszka z kluczykiem od Luke’a.

– Wygląda do dupy z tą sukienką – powiedziała mama. No ładnie. Łagodny wulgaryzm. Musiałam ją nieźle wkurzyć.

– I co z tego. – *Jakby mi zależało, żeby mieć go teraz na sobie.* Odpięłam i zwinęłam łańcuszek z kluczem w dłoń.

– Włóż to do futerału z harfą, żebyś nie zgubiła. – Przycisnęła klawisz bagażnika. – Weź telefon.

Wzięłam telefon.

Rozdział 21

Parking roił się od fejów różnych kształtów i rozmiarów. Ogniska wznosiły się ku nocnemu niebu, śląc ku gwiazdom iskry. Widziałam fejów ptakokształtnych, z masywnymi dziobami odstającymi na metr i feje urodziwsze od najpiękniejszych modelek. Byli fejowie wyglądający jak wyciągnięci z wody i małe elfie dzieci jakby wykute z nieba. Zewsząd wylewała się muzyka i wszyscy tańczyli, wirowali i śpiewali.

Staliśmy tuż przed wyjściem z auli, wyglądając jak patologiczna rodzina. Luke przyciśnięty do mojego ramienia, z sokolimi rysami i rozbieganym wzrokiem. Królowa stojąca kilka metrów od nas, zupełnie nie na miejscu na brudnym asfalcie, dzięki czemu robiła jeszcze większe wrażenie.

Z tłumu wystąpił Tomasz Rymopis. Loki na jego głowie podskakiwały. Stał przed Królową.

– Miłego przesilenia, Wasza Wysokość. – W jego głosie brzmiała troska.

– Odsuń się ode mnie, Rymopisie. Wybrałeś już, po której jesteś stronie. – Królowa podniosła niedbale rękę, nie odwracając wzroku

od tłumu, a Tomasz zwałił się na ziemię przy moich nogach. – Później zajmę się tobą i twoim ozorem.

Luke podał mu rękę. Tomasz ją chwycił i podniósł się. Jego oczy spotkały się z moimi, ale nic nie powiedział, tylko stanął za mną. *Cholera, chyba gromadzę własną świtę.*

– Nie widać *Daoine Sidhe* – powiedziała do mnie Królowa. – Najwyraźniej o tobie zapomnieli.

Może i tak. Nie wiedziałam, jaki teraz wykonać ruch.

– Nie tak prędko – zabrzmiał cicho czyjś śpiewny głos. Oczy Eleanor rozszerzyły się, kiedy zza jej pleców bezszelestnie wyslizgnęła się Una.

– Nie musisz robić tak oburzonej miny – rzekła Una. – Przecież lekko cię uszczypnęłam.

– Trzymaj się z daleka – ostrzegła Królowa i uniosła dłoń. – Złamię cię na pół.

– Chodź tu! – Głos Brendana miał w sobie troskę, której brakowało Unie. Przeciskając się przez rzędy fejów na jasnobułanym koniu przybranym dzwoneczkami, wyglądał niemal równie władczo jak Królowa. Dzwonki przy kopytach konia dźwięczały przy każdym jego kroku. Kiedy koń rozpędził krąg fejów tańczących na drodze, dzwonki na wodzach zawibrowały. Za Brendanem przepychało się przez tłum sześć innych jasnobułanych koni, których sierść odbijała barwy otoczenia. Wszystkie te dzwonki powinny tworzyć kofonię, ale zamiast niej wybrzmiewały falujące akordy oszałamiającej melodii. Mimo dramatycznych okoliczności zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

Una powirowała ku miejscu, gdzie zatrzymał się Brendan i zaczęła pociągać za wodze, żeby dzwoneczki znowu zadźwięczały.

– Czy nie *mówiłam* ci, że to te drzwi? Czy nie wyszedłeś na głupca? – Zamachała palcami w stronę Królowej i Eleanor, która stała za władczynią, trzymając przykrytą klatkę. – Oto paw ze swoją panią.

Nie byłam pewna, czy to Królową, czy Eleanor nazwała pawiem, ale żadnej z nich nie spodobało się to porównanie.

– Skoro musisz, mów, o co ci chodzi – syknęła Królowa.

Luke skłonił się lekko przed Brendanem, nie puszcżając mojej ręki.

– Dobrego przesilenia, Brendanie. Pospiesz się, proszę. Nie mamy wiele czasu.

Brendan skinął i zerknął na pozostałych *Daoine Sidhe*. Podprowadzili swoje konie do przodu, tak że wszyscy siedmioro stanęli rękodem ramię w ramię, dotykając stopami stóp sąsiada.

– Deirdre – zaczął Brendan – ocaliłaś tej nocy *tarbh uisge*, jednego z naszych. To nas zobowiązuje. – Zaśpiewał.

*Ptak lecący nad polami
Karmi się nasieniem trawy.
Z ziarna, które z dzioba spada
Najszczodrzejszy plon wyrasta.*

Wlepiłam wzrok w Brendana. Patrzył na mnie wyczekująco i byłam pewna, że powinnam teraz powiedzieć coś bardzo mądrego.

Tomasz nachylił się do mnie i dotknął mojego barku.

– Życie za życie – szepnął. – To pieśń równowagi. Dadzą ci czyjeś życie za to, które ocaliłaś.

Och.

Och.

W wyobraźni widziałam Eleanor wciskającą brudną, gołębią duszę w pierś Aodhana i jego samego upadającego na ziemię w masce Luke'a. Ale nie musiało się tak skończyć. Mogłam odzyskać jego duszę i go ocalić. Wtedy mogłabym znów trzymać go za rękę. Ta historia miałaby *szczęśliwe* zakończenie.

– Uratuj go – szepnął Luke, dotykając wargami mojego ucha. – Pospiesz się. Nie zostało mu wiele czasu.

Poczucie winy uderzyło mnie, wyciskając łzy z oczu. Nie wiem, jak udało mi się zapomnieć o pozostawionym na scenie Jamesie, zachłystującym się własnym oddechem. Co ze mnie za człowiek? Oczywiście, że należało ocalić Jamesa. Jak mogłam o tym nie myśleć? Zwróciłam się w stronę Luke'a, połykając kolejne łzy.

– Ale wtedy... Jeśli ja... Jeśli odzyskasz duszę...

Luke pocałował mnie tuż przed uchem, tak przelotnie i lekko, jakby musnęły mnie wypowiedziane chwilę później słowa:

– Wiem. Ja wiem, ślicznotko. Wiedziałem od początku.

Chciałam go aż do bólu, tępego bólu gdzieś między żebrami. Chciałam powiedzieć: „Uratuj Luke'a”. To byłoby takie łatwe.

To byłoby takie niemoralne.

Spojrzałam pod nogi, na wszystkie małe, nierówne pęknięcia na asfalcie, a potem podniosłam wzrok na Brendana i otarłam policzek.

– Dziękuję za łaskę. Doprawdy, jesteś bardzo dobry. Czy mógłbyś... Czy mógłbyś uratować mojego przyjaciela, Jamesa? Jeśli możesz? – Prawie zadławiłam się ostatnimi słowami, ale udało mi się wydusić to wszystko, zanim pociekła kolejna łza.

– Dzielna dziewczyna – powiedział łagodnie Luke.

– Gdzie on jest? – zapytał Brendan.

Una płasając, zatoczyła wokół nas krąg.

– Ja wiem. Słyszę, jak umiera tam w środku.

Brendan zszedł z siodła i przeszedł za Uną przez drzwi, nawet w noc przesilenia omijając mnie i mój żelazny klucz szerokim łukiem.

– Tak się stanie.

Wybuchłam płaczem. Nie obchodziło mnie, kto patrzy: Królowa, Eleanor, wszyscy fejowie na świecie, nieważne. Nie obchodziło mnie to. Luke ścisnął mnie mocno, pozwalając mi skryć twarz w swoim ramieniu. Kiedy pocałował mnie w czubek głowy, czułam, że patrzy surowo na Królową.

– Puść ją. – Głos Królowej był jak z kamienia. Ramiona Luke’a mocniej zacisnęły się na moim ciele. Podniosłam twarz, by na nią spojrzeć. W jej oczach wciąż widać było gorejący gniew. *Proszę, nie puszczaj mnie.* I nie zrobił tego.

– *Puść ją.*

Na ten podźwięk gniewu w głosie Królowej wargi Eleanor wygięły się w śliczny łuk uśmiechu.

– Zrobię to, kiedy ona mnie o to poprosi – rzekł Luke. – Mówiłem ci już, że porzucam służbę. Jeśli mam umrzeć, niech tak będzie.

Jeśli się bał, nie czułam tego. Królowa podeszła do klatki trzymanej przez Eleanor i ściągnęła z niej zasłonę. Klatka bez drzwiczek z cienkiej, drucianej kratki otaczała oślepiająco białego gołębia. Trzepotał z przerażenia skrzydłami, objając się o ścianki i co chwila opadał na dno. Luke westchnął wpatrzony w ptaka. Jego ciało mocno przyciskało się do mojego, ale myślą był gdzie indziej.

– Ohyda, prawda? – zapytała Królowa. – Godzi się, aby esencją siepacza był zwyczajny, brudny gołąb?

Słowa same wyskoczyły mi z ust.

– Chyba żartujesz! W życiu nie widziałam niczego tak pięknego. – Wpatrywałam się w jaśniejący kształt w klatce. Kojarzył mi się z obietnicą tego, czym mógł stać się człowiek, zanim zaczął się upadlać. Z początkiem.

Królowa z niedowierzaniem zmarszczyła brwi.

– Ostatnia szansa, Luke’u Dillon. Powiedz mi, że mnie pokochasz i daruję ci życie.

Luke pokręcił głową. Poczulałam ten delikatny ruch na policzku. Dalej tkwiąc w jego objęciu, odezwałam się do Królowej:

– Nie można zmusić nikogo do miłości. Nie rozumiesz? Można zmusić do morderstwa. Można zmusić do poddaństwa. Ale nie można *zmusić* nikogo do miłości!

– Moi poddani mnie kochają! Nie zmuszam ich do posłuszeństwa! – krzyknęła Królowa.

Brew Eleanor uniosła się wyżej.

Postarałam się z tego drobnego gestu wyciągnąć maksimum znaczenia.

– Udowodnij to. Udowodnij, bo nie wierzę.

– Umrzesz, zielna! – sarknęła Królowa. Następnie krzyknęła do poddanych tak głośno, że jej głos przebił się przez muzykę, śmiech i taniec. Wszyscy zamarli i w powietrzu tej dziwnej nocy zawisł czar.

– Czy widzicie mnie, umiłowani? Widzicie moje piękno? A teraz spojrzcie na tę zielną, jaka jest zwyczajna, jaka pospolita, jaka ordynarna! Jest niczym, a śmie twierdzić, że moi poddani mnie nie kochają!

Na twarzy Eleonor, stojącej za plecami Królowej, powoli zaczął rozwijać się uśmiech i rósł z każdym jej kolejnym słowem. Piękno tego uśmiechu mogło sprawić, że patrzący cierpiał katusze.

Królowa uniosła ręce i wrzasnęła:

– Wybierajcie swoją Królową!

Noc zamarała.

Było tak cicho, że słyszałam, jak na polu po drugiej stronie szosy grają cykady, a w parowie za szkołą kumkają żaby. Na dalekiej drodze zaszurały koła samochodu, a nade mną, w całkowitej ciszy, usłyszałam brzęczenie latarni.

Wtedy fejowie ruszyli na Królową – szalona masa lśniących ciał, skrzydeł, dziobów i pazurów. Napór tłumu oderwał mnie od Luke'a. Hałas był nieznośny: krzyki, śmiechy i warczenia. Nie wiedziałam, co się dzieje i nie widziałam Luke'a ani Królowej, ani nikogo – prócz ciał przepychających się obok mnie.

Tylko jeden krzyk przebił się przez pozostałe: wysokie, piskliwe zawodzenie, które ciągnęło się i ciągnęło, mroząc krew w żyłach swą dzikością. Potem zobaczyłam wysokiego feja z kudłatą sierścią na barkach, jak przemyka koło mnie, trzymając w garści pasmo jasnych

włosów zakończone czerwoną grudką. Nie rozumiałam, co się stało, aż zobaczyłam grupę smukłych, wiotkawykh fei, które przerzucały między sobą rękę. Potem dwoje małych fejów barwy nieba, wyszarpujących sobie długi pas tkaniny z sukni Królowej.

– O mój Boże! – Przycisnęłam dłoń do ust. Obok mnie Eleanor wydała cichy, lekko rozbawiony dźwięk.

Niesamowicie wysoki fej z uszami spiczastymi jak u konia uniósł ponad głowę jakąś krwawą zdobycz i dziki, prymitywny, zachwycony krwawą jatką tłum zaryczał.

Zabili ją.

– Dee – Luke przepchnął się koło Eleanor, jakby była meblem i złapał mnie za ramię. – Nic ci się nie stało? Myślałem... – Przerwał i popatrzył na smokopodobną istotę, przemykającą z ramieniem w długiej, zębiastej paszczy. Jego blade oczy powiodły za postacią, aż znikła w tym dziwnym tłumie.

– Nie sądziłam, że ją zabiją.

– Ja myślałem, że to ciebie... – Wtedy zdałam sobie sprawę, że Luke, po raz pierwszy, jest roztrzęsiony. – Widziałem, jak niosą rękę i...

– Cicho bądź. Nic się nie stało. – Dobrze było wreszcie być tą pocieszającą stroną, która mówi, by się trzymał. – Co się dzieje?

Wysoki, piękny fej okrzykiem uciszył wszystkich i trzymając krwawy diadem Królowej nad swoją głową, powiedział tysiącem głosów naraz:

– Wybraliśmy naszą Królową.

Fejowie rozstępowali się przed nim, kiedy szedł przez tłum, kierując się prosto na mnie ze swoją straszliwą koroną, wciąż ociekającą krwią Królowej. Nie umiałam nawet wyobrazić sobie jej ohydneho ciężaru na głowie. Zadrżałam. Luke mocniej ścisnął mnie za ramię.

O Boże! Nie!

Fej zbliżał się nadal, nie zmieniając kursu.

Nie! Nie ja. Nie ja – modliłam się w duchu. *Ktokolwiek, tylko nie ja.*

Fej zatrzymał się przede mną i dostrzegłam, jak z diademem na jego ramię kapie krew.

Tylko nie ja!

Zrobił jeszcze krok, zmniejszając dystans między nami i umieścił diadem na głowie Eleanor.

– Królowo, panuj nam wiecznie.

– Och, oczywiście, że będę – rzekła Eleanor.



*O, wy, wszyscy zakochani
Bezpowrotnie i na amen,
Nad waszym pochylam się żalem.
Wiem to dobrze z doświadczenia:
W przypadku takiego cierpienia
Ludzka siła nie pomoże już wcale.*

– The Curragh of Kildare

Rozdział 22

Zapadła cisza, gdy Eleanor zwróciła ku nam swoje oblicze. Nad jej ramieniem po niebie przesuwiał się powoli księżyc, ptaki wciąż drżały i trzepotały na jego powierzchni. Ich srebrzysta poświata mieszała się z brzydką żółcią latarni.

– Długo czekałam – powiedziała w końcu Eleanor. Uklękła i podniosła klatkę z duszą z większym wdziękiem, niż uczyniłby to jakikolwiek człowiek. – Luke’u Dillon, służyłeś poprzedniej Królowej, nie tej. Weź swoją duszę, słońce.

– Dziękuję – powiedziałam.

– To nie dar – stwierdził płasko Luke.

Eleanor uśmiechnęła się, równie piękna, jak groźna.

– Zawsze byłeś takim mądrąłą. Nie chcesz jej, kochanie? Tak ciężko na nią zapracowałeś.

Luke puścił moją rękę, by podejść i wziąć klatkę. Wrócił do mnie i ustawił ją między nami, jakby to była nasza wspólna własność.

– Co będzie z Deirdre?

Eleanor wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie czeka ją strasznie nudne życie. Brzydkie dzieci. Kryzys wieku średniego. Nocnik. Śmierć.

– Nie skrzywdzisz jej?

Eleanor uśmiechnęła się, jakby spodobał jej się ten pomysł, ale pokręciła głową.

– Wątpię, słońce. Tyle innych rozrywek dookoła. – Rozejrzała się i spojrzała na fejów. Klasnęła w dłonie. – A propos zabawy, moi piękni, gdzie podziela się muzyka? Czy to nie przesilenie?

Na te słowa fejowie zawirowali wokół nas, ponownie wypełniając parking muzyką. Eleanor uśmiechnęła się łaskawie.

– Deirdre, nie oddasz teraz dłużnikowi jego duszy? Nie może odebrać od niej oczu.

To prawda. Jego oczy wciąż spoglądały na gołębia, a część Luke'a, która była we mnie, także się do niego wyrwała. Prawie go nienawidziłam. Nienawidziłam za to, że to był koniec. Ale przede wszystkim nie podobało mi się, że nie wiedziałam, co się stanie, kiedy odzyska swoją duszę. Czy Eleanor miała rację? Musiał zapłacić za grzechy Królowej?

– Bohater zawsze umiera pod koniec irlandzkich ballad, zauważyłaś to? – Głos Luke'a był ledwie słyszalny. Przykucnął, by popatrzeć na swoją duszę i zobaczyłam, jak blask gołąbka odbija się w jego źrenicach.

– Czekaście! – rozległ się głos płaszącej ku nam od strony auli Uny. Za nią Brendan niósł ciało Jamesa, jakby ważyło tyle co piórko. Podszedł do mnie tak blisko, jak tylko mógł się odważyć i położył go na asfalcie.

– Czy on żyje? – zapytałam i rzuciłam się ku niemu, bezmyślnie odtrącając Brendana obecnością żelaza. Przykłękłam i zobaczyłam, jak klatka piersiowa Jamesa porusza się w górę i w dół. Przyłożyłam dłoń do jego ust, by poczuć oddech.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. – Brendan pokręcił głową. – Ale, tak czy owak, dudziarz żyje.

Ruchem głowy wskazał na Luke'a.

– A co z Lukiem Dillon?

Luke spojrział na mnie – zza miliona mil, które nas oddzielały. Chyba się bał.

– Co ze mną, Dee?

Wzięłam głęboki oddech. Nieważne, co się stanie, nie było mi pisane zwycięstwo. Ale może miałam szansę uniknąć całkowitej klęski. Spojrzałam na Brendana i Unę.

– Pamiętasz, co powiedziałeś wtedy, kiedy się poznaliśmy?

– On pamięta wszystko – wtrąciła się Una. – On jest jak słoń.

Brendan podniósł rękę.

– Zamknij się. – Odwrócił się do mnie. – Co powiedziałem?

– Mówiłeś, że Luke grał z wami... Że grał z wami w przeszłości... – Jąkałam się niepewna, jak dobrać słowa. – Mówiłeś, że jest bardziej jak wy, bardziej podobny do was niż do ludzi. A... – Moje oczy odnalazły Tomasza Rymopisa, obserwującego nas z bliska. – A Tomasz powiedział, że ludzie, którzy mieszkają z fejami, nie umierają. Jeśli oddam mu duszę... czy sądzisz... że miałby szansę odkupić swoje winy...?

Wzrok Luke'a przeskoczył na mnie, a potem na Brendana. Nie wiedziałam nawet, czy chciał tego, o co się dla niego starałam. Może sądził po prostu, że z jednego więzienia idzie do drugiego. Potem spojrział na Unę.

– Przygarniecie mnie?

Brendan zmarszczył brwi. Kiedy w końcu otworzył usta, wydawało się, że ostrożnie dobiera słowa.

– Spędziłeś tyle czasu wśród żelaza.

– Faktycznie – dodała Una. Luke stał koło mnie bez ruchu.

Brendan jeszcze bardziej się nasrożył. Na jego twarz wypełzł wyraz obrzydzenia. Poczułam nieprzyjemny ścisk żołądka.

– Śmierdzisz żelazem. Jesteś zanieczyszczony. Nie mogę sobie wyobrazić nas...

Una zachichotała, a Brendan dał jej kuksańca. Zwrócił się ponownie do Luke'a.

– Nie sądzę, aby to było możliwe. Przykro mi.

Luke chciał coś powiedzieć, ale Una zaczęła się śmiać, pięknym, głupiutkim śmiechem. Śmiała się tak bardzo, że aż przykucnęła i podparła się ręką. W końcu zachłysnęła się powietrzem i powiedziała:

– Brendan, kochany, Luke Dillon ci *uwierzył*.

Luke skrzywił się do Uny i zapytał Brendana:

– Stroicie sobie ze mnie żarty?

Wstręt zniknął z twarzy Brendana i od razu zastąpił go łaskawy uśmiech.

– Luke'u Dillon, ty ze swoim fletem nie musisz prosić o pozostanie z nami. To będzie dla nas zaszczyt. Jesteś o wiele bardziej fejem niż człowiekiem.

Una zmarszczyła nos.

– Ale jesteś też o wiele bardziej łatwowierny.

Luke wydał z siebie ciche westchnienie. Nie wiem, czy był to znak smutku, czy może wdzięczności.

To było niesprawiedliwe. Po wszystkim, co zrobiliśmy i co się stało, powinnam z nim zostać. Ale sprawiedliwe rozwiązanie nie istniało.

– Zrób to – powiedziała Una – nie ociągaj się. Masz resztę przesilenia w jego towarzystwie. Jesteśmy tu tak długo, jak gra muzyka.

Zbliżyłam się do klatki. Luke pocałował mnie w policzek, czoło, usta. Potem szepnął z bardzo, bardzo bliska:

– Dziękuję, że nadałaś temu wszystkiemu sens.

Eleanor podeszła do nas. Prezentowała się władczo w krwawej koronie.

– Doprawdy – szepnęła z szacunkiem – to była wspianiała gra.

Wyjęła swój biały, kościany sztylet i podała mi go. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że mam nim otworzyć klatkę.

Nie dając sobie czasu na wątpliwości, rozciąłam górną część klatki. Kraty odskoczyły jak sprężyny, a przerażony gołąb zatrzepotał skrzydłami na jej dnie. Widziałam, jak pod jego kruchą skórą łomocze serce.

– Ciii... – szepnęłam. Wsadziłam dłonie do środka i przyłożyłam skrzydła do jego boków. Był niewyobrażalnie lekki. Czułam, jakby mój dotyk mógł go zmiażdżyć. Podniosłam oczy na Luke'a. Stał nieruchomo wpatrzony we mnie.

Dusza w moich dłoniach wrywała się do Luke'a i pozwoliłam jej przyciągnąć swoje ręce w stronę jego piersi. Wyobraziłam sobie Luke'a jako młodego i tętniącego życiem. I wszystko, co mogliśmy mieć. Chciałam powiedzieć coś w rodzaju „żegnaj”, ale czy coś jeszcze naprawdę zostało nam do powiedzenia? I pozwoliłam jego duszy z powrotem w niego wlecieć.

Luke zaczerpnął powietrza, zamrugał oczami... i ożył. Był teraz tak pełen życia, jego oczy tak błyszczwały, twarz tak jaśniała, iż zrozumiałam, że nic o nim nie wiem. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Młody, obcy, dziki człowiek. Mocno mnie pocałował.

Una zbliżyła się i objęła jego bark.

– Jesteś teraz jednym z nas. Jesteś związany muzyką. Jesteś w jej mocy. Muzyka to twoje życie.

Luke spojrzał na mnie.

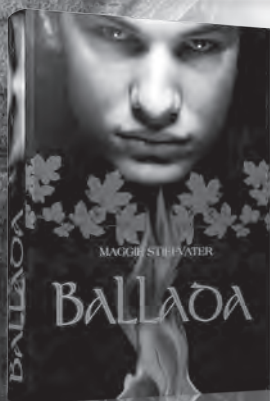
– Będę tutaj, dopóki gra muzyka, ślicznotko. Weź swoją harfę.

ZAPOWIEŹ WYDAWNICZA

MAGGIE STIEFVATER

Ballada

Taniec mrocznych elfów



James Morgan został obdarzony prawie niezmiernym talentem muzycznym, który przyciąga Naulę – tajemniczą dziewczynę należącą do krainy Faerii. Naula to muza, która zabiera śmiertelnikom duszę, najpierw się nimi opiekując, a następnie żerując na twórczej energii zdolnych ludzi aż do ich śmierci. Dzięki wcześniejszym przygodom James ma mnóstwo powodów, aby obawiać się Faerii, ale kiedy on i Naula zaczynają współpracować nad niezwykłą muzyczną kompozycją, James odkrywa, że niespodziewanie jego uczucia do Nauli się pogłębiają. Inni mieszkańcy Faerii nie patrzą jednak na to zbyt przychylnym okiem. Wkrótce nadchodzi Halloween – dzień zmarłych – a James będzie musiał zmierzyć się z Królową Elfów oraz rogatym królem umarłych, aby ocalić Naulę i własną duszę.

DATA WYDANIA: LATO 2011



SPODOBAŁ CI SIĘ FRAGMENT,
KTÓRY PRZECZYTAŁEŚ?

ZAMÓW KSIĄŻKĘ

LAMENT

na

www.CzaryMary.pl

www.TaniaKsiazka.pl



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

<https://www.facebook.com/illuminatiopl>

Wydawnictwo Illuminatio



www.illuminatio.pl